

Michał Gołębiowski: Nowy ateizm Marka Twaina

Mark Twain uchodzi za jednego z najbardziej błyskotliwych krytyków chrześcijaństwa w kulturze zachodniej. Jednocześnie trudno ustalić, czy jego pozycją światopoglądową był agnostycyzm, ateizm czy deizm. Z dość pokaźnego korpusu wypowiedzi pisarza da się wyciągnąć różne wnioski – pisze Michał Gołębiowski w „Teologii Politycznej co Tydzień”: „Twain. Gawęda wśród szumu Missisipi”.

Na pewno możemy powiedzieć, że w dziełach takich jak *Listy z ziemi* czy *Tajemniczy nieznajomy* mamy do czynienia z zajadłą krytyką religii, a zwłaszcza chrześcijaństwa, jakie Twain znał z autopsji. Styl argumentacji i pasja, którą Twain wykazywał w tym aspekcie, znacząco wyprzedziły formację znaną współcześnie pod nazwą nowego ateizmu.

Zanim jednak postaram się uzasadnić tę tezę, poczynię ważną uwagę. Poglądy Twaina na religię są mi niezwykle dalekie. Nie zamierzam jednak z tego powodu odbierać pisarzowi literackiego kunsztu. Twain to autor należący do kanonu kultury amerykańskiej. Jednocześnie zostawił po sobie szereg pism, które prowokują do dyskusji, a przynajmniej odzewu na płaszczyźnie innej niż artystyczna, a więc – światopoglądowej lub, jak kto woli, ideologicznej. Jako chrześcijanin chcę odnieść się do jakości spostrzeżeń, które w zamysle autora mają odsłaniać absurdalność chrześcijańskiej wiary.

Błyskotliwość Marka Twaina to niemal *locus communis*. Mówi się, że strzały przez niego puszczane były zazwyczaj niezwykle celne, a także – nasączone inteligentnym humorem. Podobnie ocenia się, swoją drogą, dorobek nowych ateistów, na przykład Sama Harrisa, który przekonuje, że nie ma różnicy pomiędzy katolikiem wierzącym, że przemieniona hostia jest Ciałem Chrystusa a osobą chorą psychicznie, która sądzi, że błogosławiąc naleśniki z syropem, zamieni je w Elvisa Presleya.

Tego rodzaju zestawienia zrównują ostre zaburzenia poznawcze osoby cierpiącej na urojenia z postawą człowieka wierzącego, który nie doświadcza tego rodzaju zaburzeń, a jedynie przyjmuje na wiarę rzeczywistość, której osobiście nie widzi i nie odczuwa. Prymatem nie jest tu jednak intelektualna uczciwość. Krytyka religii w wykonaniu nowego ateizmu ma być efektowna i łatwo przyswajalna przez masowego słuchacza. Na tym przykładzie widać określoną tradycję w popularnej (a może raczej – populistycznej) filozofii amerykańskiej.

Pierwsze bluźniercze ciosy Twaina wymierzone zostały w niebo. Jego zdaniem życie wieczne jest ideą z gruntu absurdalną, ponieważ, jeśli wierzyć pismom natchnionym, nie zakłada ono kontynuacji życia seksualnego. To w zasadzie pierwsza skarga na chrześcijaństwo, jaką wniósł Twain na kartach powieści *Listy z ziemi*. Jak to możliwe, że w umyśle człowieka powstała tak bezsensowna idea, skoro stosunek seksualny jest czymś kluczowym dla całej ludzkiej egzystencji. Czymś takim, jak woda dla podróżnika błędzącego po pustyni. Stanowi potrzebę, której nie sposób nie zrealizować, a przede wszystkim niesie za sobą najwyższą formę szczęścia. Nie może jej się równać żaden Bóg i żadna wizja uszczęśliwiająca.

Przed kolejnymi uderzeniami chyba nie warto się bronić. Twain przekonuje, że niebo to idea bezsensowna, ponieważ polega na oddawaniu chwały Bogu, przez całą wieczność, choć musi to być czynność niesłychanie nudna. Wszyscy mają tam śpiewać hymny, a przecież niewielu lubi i umie śpiewać. Człowiek męczy się na godzinnym nabożeństwie kościelnym, a w niebie czeka na niego nabożeństwo trwające całą wieczność.

Po rozprawieniu się z niebem, przychodzi kolej na piekło. W tym kontekście Twain wyraża pogląd, który stał się współcześnie znany za sprawą Christophera Hitchensa: zbrodnie Jahwe na kartach Starego Testamentu są dalece mniej oburzające od nauk Jezusa Chrystusa, który wprowadził perspektywę tak straszną, jak piekło. Pomiędzy tymi dwoma Bogami nie ma spójności ani zgody. Ta sprzeczność działa jednak na niekorzyść tego drugiego. Podczas gdy Jahwe zadowalała się gwałtem, torturami i ludobójstwem, które kończyły się śmiercią, Jezus z upodobaniem snuł wizje pośmiertnych męczarni, które okazały się nie tylko znacznie okrutniejsze, lecz także wiecznotrwałe. Nie ma gorszej bestii, aniżeli ta, która obiecała ludziom zbawienie.

Twain pozostaje zresztą w swoich spostrzeżeniach dość niespójny, kiedy z jednej strony przypisuje Jezusowi okrucieństwo i emocjonalną przemoc, a następnie stwierdza, że gdyby żył, na pewno nie byłby On chrześcijaninem, zgorszony zepsuciem i moralną nędzą wyznawców założonej przez siebie religii.

Powtórzmy, że styl antyreligijnej argumentacji Marka Twaina przypomina współczesne zjawisko znane jako nowy ateizm. W przypadku autora *Listów z ziemi* mniejszą rolę odgrywa jednak pozytywistyczny scjentyzm. Można raczej odnieść wrażenie, że krytyka chrześcijaństwa w wykonaniu Marka Twaina opiera się na czymś w rodzaju chłopskiego rozumu, to zaś odsyła nas do uproszczonych wariantów amerykańskiego pragmatyzmu. O ile nie służy ona samoutwierdzeniu się czytelnika w nienawiści do religii, niezwykle łatwo na nią odpowiedzieć i ją odeprzeć.

Pierwszy błąd polega na utożsamieniu jednego z popędów, jakkolwiek silnego (choć wiemy też, że nie koniecznego dla życia, podlegającego różnego rodzaju sublimacjom), z sensem życia. Twain radykalnie odrzuca wiarę i zaufanie. Dlatego ogranicza nadzieję chrześcijańską do tego, co biologiczne, z tego poziomu konfrontując oczekiwania, które ze swej natury przekraczają funkcje natury. Twain nie wierzy w nadprzyrodzoność, łaskę, eschatologiczne przemienienie człowieka, które otworzy go na zupełnie nowe perspektywy egzystencjalne, daleko przekraczające to, co teraz odczuwamy jako popędy i potrzeby. Błędem jest jednak rozsądzanie na tej podstawie o wewnętrznej niespójności chrześcijańskiej wiary w niebo.

Błąd w ocenie Jezusowego orędzia o piekle opiera się na nieco innych przesłankach. Twain występuje tym razem jako subtelny humanista, zatroskany o wartość i godność innych, już nie ktoś, kto redukuje człowieka do fizjologii i popędów. Podstawowe założenie *Listów z ziemi* jest w tym aspekcie trojaki: piekło jest nieskończoną niesprawiedliwością, ponieważ za zło dokonane w czasie odpłaca złem

rozciągniętym na wieczność, jest też przestrzenią cierpienia, które nie ma żadnego sensu, racji ani wartości, a wreszcie – nie daje się pogodzić z ideą Boga, który kocha swoje stworzenia.

Łatwo zrozumieć zgorzzenie Twaina, kiedy uzmysłowił sobie, że punktem odniesienia był dla niego literalizm amerykańskich protestantów. Tymczasem właściwy styl lektury wypowiedzi Jezusa zakłada integralność z całością Pisma. Wiele mów Zbawiciela miało przecież charakter aspektowy, w pełni rozumiany dopiero w zestawieniu z całym szeregiem wersetów. Piekło odsłania się więc jako ostateczna perspektywa związana z możliwością odrzucenia Boga. Panujące w nim cierpienie nie polega na mściwości Chrystusa, lecz Jego nieobecności. Wszystko inne stanowi jedynie próbę unaocznienia rozpacz tego wyboru za pomocą analogii do ludzkiego doświadczenia. Jednocześnie mowa tu rzeczywistości, która w dużym stopniu pozostaje tajemnicą, podobnie jak tajemnicą jest świadomość człowieka, który odrzuca Boga. Chodzi zatem o kwestię dynamiczną, między osobą a Osobą.

Nie jest też prawdą, że Stary Testament nie znał perspektywy wiecznego piekła. Wspominają o nim przecież niektórzy prorocy. Wprowadza to w nasze rozważania kolejny istotny wątek: nauczanie Jezusa, zwłaszcza to, które dotyczyło piekła, przyjmowało nieraz formę mowy proroczej. Celem tego stylu wypowiedzi było wywołanie moralnego i egzystencjalnego wstrząsu u słuchaczy, którzy w wyniku proroctwa powinni się wybudzić z duchowego uśpienia. Każda taka mowa była jednak równoważona przesłaniem o niezmiernym miłosierdziu Boga.

Piszący te słowa nie dysponuje tak wybitnym sarkazmem, jak mistrz tej formy wyrazu, Mark Twain. W związku z tym zapewne nie potrafiłby też docenić prawdziwej ironii. Istnieje zresztą ironia ciepła i pełna miłości do ludzi, taka jak u katolickiego pisarza Baringa, ale istnieje też ironia stetryczała i pełna wyższości wobec głupiego tłumu. Tę drugą da się wyczytać w *Listach z ziemi*, książce, która składa czytelnikowi obietnicę, że jeśli podzieli z autorem tę wyższość, to sam stanie się kimś bardziej błyskotliwym. Konkluzja niech będzie zatem nudna i do bólu przewidywalna: Twain jest jednym z ojców amerykańskiej prozy. Jego osiągnięcia na tym gruncie są niepodważalne. Sądzę jednak, że można go również zaliczyć do grona przedstawicieli populistycznego ateizmu.

Michał Gołębiowski

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
